



OLIWIA TYBULEWICZ

KROPLA NADZIEI

Oliwia Tybulewicz

Kropla Nadziei

Seria: Kropla Życia
Tom II

© Copyright by Oliwia Tybulewicz & e-bookowo

Zdjęcie okładkowe: pixabay
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN e-book: 978-83-8166-096-9
ISBN druk: 978-83-8166-109-6

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2020

Patronat:



BIBLIOTECHKA CIEKAWYCH KSIĄZEK
BLOG RECENZENCKI

*Heniowi i Stasiowi,
a także wszystkim tym,
którym podobała się pierwsza część.*

Rozdział I

– Tak sobie myślę... – mówi Tamara rozmarzonym tonem.

Znajdujemy się w Lunie, pubie dla istot nadprzyrodzonych, w którym pracuję jako kelnerka. Zwykli ludzie, jak my dwie, pojawiają się w nim z rzadka i tylko wtedy, gdy ktoś ich wcześniej wtajemniczy, bowiem miejsce to jest ukryte przy pomocy zaklęcia przed wzrokiem niepowołanych.

Jest słoneczne, bardzo spokojne popołudnie. Widoczne zza szyb niebo ma nietypowy dla tej pory roku piękny, kobaltowy odcień, a okalający parking trawnik cieszy oczy zielenią przeplataną kolorowymi liśćmi. Widoczne tu i ówdzie drzewa czupurnie stroszą korony i mam wrażenie, że gdybym uchyliła drzwi, usłyszałabym melodyjny świergot ptaków, choć, gwoli ścisłości, póki co w pomieszczeniu słychać jedynie chrupanie i dobiegające z kuchni basowe buczenie. Jako że ma ono mało gniewny charakter, zgaduję, że to nasz kucharz, Joachim, podśpiewuje sobie pod nosem. Jednym słowem – sielanka.

Posyłam przyjaciółce zaciekawione spojrzenie zza lady baru.

– O czym? – indaguję, nieśpiesznie polewając kieliszek do wina.

– A tak mi czasem przychodzi do głowy, żeby rzucić pracę w markecie i zacząć coś robić na własny rachunek – przyznaje

moja rozmówczyni z nieśmiałym uśmiechem. – W końcu tak lubię gotować. Mogłabym otworzyć firmę cateringową dla istot nadprzyrodzonych!

O nie, Tami, nie psuj tego! Niech choć przez chwilę nacieszę się tym beztroskim, pięknym dniem. Tym bardziej, że ostatnio pogoda bynajmniej nas nie rozpieszczała.

– A nie uważasz, że może lepiej byłoby spróbować najpierw z interesem dla zwykłych śmiertelników? – sugeruję, starając się, by nie zabrzmiało to jak krytyka.

– Takich firm jest już pełno, a coś takiego... Mam wrażenie, że to obiecująca nisza!

A niech to, ona chyba mówi poważnie. A wydawało mi się, że znalezione naprędce stanowisko biurowe w lokalnym sklepie bardzo jej odpowiada. Skąd ta nagła zmiana?

Gnom ze stolika w kącie zaczyna charczeć. Tamara zerka na niego spłoszona.

– Nie powinnyśmy jakoś mu pomóc? – pyta z wahaniem.

– Nie. – Macham ręką. – One ciągle tak robią – przez to, że tak łąpczywie jedzą. W każdym razie, wracając do tematu, nie jestem pewna, czy istoty nadprzyrodzone doceniłyby twój kunszt kulinarny.

Charczenie przybiera na sile.

Tami wzrusza ramionami z tajemniczym błyskiem w oku.

– Nie dowiem się, jeśli nie spróbuję, prawda? Przed odważnymi świat stoi otworem.

A zbyt odważnymi – zaświaty – dodaję, ale tylko w myślach. No nic, potem wykombinuję, jak jej to wybić z głowy.

Gnom wydaje z siebie umęczone kwiknięcie, wytrzeszcza oczy i w końcu z wysiłkiem przełyka. Moja przyjaciółka, którą na moment to rozproszyło, przenosi wzrok z powrotem na mnie.

– Czas na mnie – oświadcza z przepraszającym uśmiechem i zsuwa się ze stołka barowego.

– Pozdrów Czarusia.

– Och, niestety wyjechał. Pilna sprawa rodzinna – wyjaśnia

z nutką niechęci, jakby z jakiegoś powodu wołała nie wchodzić w szczególności, po czym macha mi na pożegnanie i znika za drzwiami.

O, to coś nowego. Ciekawe, o co chodzi. Czarek, jej chłopak i notabene wilkołak, który jeszcze do niedawna marzył o byciu wampirem, nigdy nie wspomina o swojej rodzinie. Nie mam jednak czasu, żeby się nad tym dłużej zastanowić, bo chwilę później w wejściu pojawiają się wesolutka jak skowronek siostrzenica właściciela Luny, Nina i dźwigający potężnych rozmiarów pudło Karel.

– Pomóc? – pytam zaciekawiona, odkładając ścierkę.

Półelf z uśmiechem kręci głową i kieruje się na zaplecze. Zerkam na salę i stwierdziwszy, że nie dzieje się nic niepokojącego, ruszam za Karem i jego towarzyszką, którzy zatrzymują się dopiero w jadalni dla obsługi.

– Kupiłam obrusy! – oświadcza z triumfem Nina.

– Obrusy?

– Uhm. Już od dawna o tym myślałam.

– Dla naszych klientów? – upewniam się, nieco zbity z tropu, bo owszem, dysponowaliśmy kilkoma sztukami na specjalne okazje, ale żeby wprowadzać je na stałe?

– Dodadzą wnętrzu trochę elegancji! Spokojnie – dodaje, widząc moją zaskoczoną minę. – Przemyślałam to, są plamoodporne!

Widząc wyraz twarzy Karela, zgaduję, że i on pomyślał, że dobrze by im zrobiła także ogniotrwałość i odstręczający smak. Nina wciąż nie docenia pomysłowości naszej klienteli.

– Przepraszamy je i będą już na wieczór! – dorzuca z niegasnącym entuzjazmem.

Kręcąc głową, wracam na salę i odkrywam, że w międzyczasie pojawiła się na niej Pelagia. Wyciągam z kieszeni fartucha kelnerski notesik i od razu kieruję się w jej stronę.

– Co podać?

Wróżbitka odrywa wzrok od rozłożonych na blacie kart (błyskawicznie się z nimi uwinęła, biorąc pod uwagę, jak krótko mnie nie było) i patrzy na mnie ze smutkiem.

– Strzeż się czarnego kota o północy na rozstaju dróg – mówi

bez przekonania, jakby pomimo tego ostrzeżenia mój marny los był już i tak z góry przesądzony.

– Nie omieszkam. – Posyłam w jej stronę zawodowy uśmiech.
– Kawy?

– Oj tak! – Szeroko otwiera oczy z przesadnie wytuszowanymi rzęsami. – Całą noc nie mogłam spać, zawsze tak mam przed ważną wizją!

Jak na moje wygląda na całkiem wyspaną, ale współczująco kiwam głową.

– I coś jeszcze?

– Pomyślę.

– Oczywiście, nie ma problemu.

Gdy kończę nalewać kawę, ze składziku wyłania się umorusana i trochę potargana Nina.

– Widziałaś tu gdzieś żelazko? – pyta tonem, w którym słychać płaczliwe nuty.

Na chwilę zastygam w bezruchu i wyjężam pamięć.

– A wiesz, że chyba kiedyś gdzieś widziałam? – odpowiadam ze zdziwieniem.

Bo właściwie po co tu żelazko? Nigdy nie rzuciło mi się w oczy, żeby ktokolwiek coś tu prasował. Może to jakiś relikw z dawnych czasów?

Siostrzenica Igora zdmuchuje z czoła pasmo włosów.

– Jakieś szczegóły?

Doskonale ją rozumiem. W miejscu takim jak Luna ono może znajdować się dosłownie wszędzie, nawet zakopane pod drzwiami wejściowymi – na szczęście bądź dla odczynienia jakiegoś uroku.

– Chyba tam, skąd właśnie wróciłaś.

Z wahaniem zerkam na filiżankę.

– Ja się tym zajmę – oferuje rycersko Karel.

Z wdzięcznością kiwam głową.

Zguba odnajduje się po jakichś dziesięciu minutach, na dnie wielkiej, blaszanej konewki i w towarzystwie wypchanej sowy.

Na ich widok Nina zerka na mnie pytająco, ale w odpowiedzi jedynie wzruszam ramionami. Ja tu w końcu tylko kelneruję.

Żelazko jest wiekowe i trochę toporne, ale ona wygląda na zadowoloną, gdy tak je sobie ogląda pod światło.

– Myślisz, że jeszcze działa? – pyta.

Staram się wykrzesać z siebie maksimum entuzjazmu.

– Jest spora szansa. Wygląda na mało używane.

– No nic, raz kozie śmierć! – stwierdza i kieruje się w stronę jadalni dla personelu.

Ja tymczasem wracam za bar, gdzie Cecylia z rozdziawionymi ustami obserwuje, jak Karel kończy dekorować syropem czekoladowym kawałek ciasta kasztanowego. Kilka manewrów nadgarstkiem później i oto mamy przed sobą ukrytą w lesie chatkę, zbitą z drewnianych bali, z fikuśnym kominem, z którego wydostaje się smuga dymu. Okolice wejścia ozdabia dorodny słonecznik, a w okolonym rozchylonym okiennicami oknie wyleguje się kot. Artysta pomyślał nawet o wycieracze pod drzwiami. Wypisz-wymaluj, wiedźmia chatka jak żywa!

Karel odwraca butelkę i przez chwilę krytycznie przygląda się swojemu dziełu. W końcu wzdycha, jakby nie do końca zadowolony i ozdabia brzegi talerza wymyślnym zygzakiem. Cecylia przełyka ślinę. Półelf tymczasem stawia talerz przed Pelagią. Ta, nie odrywając wzroku od kart, po omacku sięga po widelec, odkrawa pierwszy kęs i wpycha go sobie do ust.

Studentka magii marszczy brwi i dosłownie trzy sekundy później karty ze stołu zwiewa coś na kształt porywu wiatru. Ich właścicielka rozgląda się zdezorientowana, ale rzecz jasna nie udaje jej się znaleźć źródła tajemniczego przeciągu. Wówczas, jakby od niechcenia, rzuca okiem na nieco już zrujnowane dzieło Karela i wytrzeszcza oczy. Usatysfakcjonowana Cecylia zabiera się za polerowanie bynajmniej nie wymagającego tego blatu baru.

– No co – mruczy pod nosem, w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. – Szkoda by było, jakby tego nie zauważyła. Tak się starał.

– Fakt. – Opieram brodę na dłoni. – Aż żal to jeść.

– One się z tym rodzą, co nie? – Wzdycha. – Elfia elegancja. Mają ją we krwi.

Trudno nie przyznać jej racji. Dziwne, że przedstawiciele tej rasy bywają w lokalu takim jak Luna, ale z drugiej strony: może mają czasem ochotę na jakąś odmianę? Nawet najwspanialsze rzeczy w nadmiarze powszednieją.

– Domówiła deser. – Karel pojawia się u mojego boku tak bezszelestnie, jakby wyłonił się spod ziemi i zerka wymownie na Pelagę, wpatrującą się w swój talerz z zaciętą miną.

Kiwam głową, choć oczywiście już się tego domyśliłam.

– I jeszcze jedna sprawa – dodaje. – Dziś wpadnie tu kilka dam z sabatu czarownic.

Marszczę brwi.

– Dam?

– Tak – potwierdza, nieświadom moich lingwistycznych dywagacji. – Wysłały... hm... sowę.

Niepewnie wskazuje na znajdujący się za naszymi plecami rząd półek z alkoholami. Na samej górze rzeczywiście drzemie nastrozona kupa piór. „Damy” naczytały się chyba za dużo *Harry'ego Pottera*.

– Przyczepiły jej liścik do nóżki – półelf bezbłędnie ubiega moje kolejne pytanie. – Położyłem go pod ladą.

Macham mu na pożegnanie i sięgam po wiadomość. Spisano ją na kawałku pożółkłego pergaminu. Mrużę oczy i z trudem wczytuję się w komunikat, nakreślony okrągłymi, nieco chwiejnymi literami: „Szykujcie herbatę z rumem i ciasteczka imbirowe, dzierlatki! Sabat zapowiada się deszczowo!”

Z żalem zerkam na bezchmurne niebo. Ale pewnie wiedzą, co mówią. Oczywiście ani słowa na temat, ilu osób się spodziewać, ani o której będą.

Obok drugiego wykrzyknika widnieje dziura z zielonkawą obwódką. Zgaduję, że wiedźma pisała wiadomość w trakcie przygotowywania jakiejś żrącej nalewki. Ostrożnie odkładam świstek, uważając, by nie chwycić za tajemniczą płamę.

Następnie kieruję wzrok na zeszywniałą Pelagię, która straciła zainteresowanie poniewierającą się na wykładzinie talią. Wzdycham i idę ją pozbierać, zanim połasi się na nią ktoś inny.

Karty wyraźnie odcinają się od powierzchni podłogi. Są całkiem spore i, sądząc po stopniu zużycia, często używane. Wykonano je z kartonu i ozdobiono eleganckimi obrazkami w staroświeckim stylu, wstrzemięźliwie odnosząc się do kwestii kolorów. I czego, jak czego, ale braku dbałości o szczegóły ich autorowi nie można zarzucić. Ten szkielec w meloniku, na przykład, wygląda bardzo realistycznie. Albo ów szczerzący kły szczur z potarganym futerkiem. Wolalabym nigdy się na niego nie natknąć w prawdziwym życiu, bo ewidentnie nie został na czas zaszczepiony na wściekliznę. Za to rewers kart koi wzrok przyjemnym odcieniem błękitu, którym wymalowano zawiały, koronkowy wzór.

Pierwsza, druga... Gdy podnoszę siódmą, prostuję się i przyzywając kiwam palcem na gnoma. Ten krzywi się, ale posłusznie wyciąga zza pazuchy ósmą. Z dziewiątą w pysku umyka na czworakach na oko trzyletni wilkołak, któremu mama pozwoliła poszwendać się samopas po Lunie. Jako że kartonik wygląda na nieco przeżuty, macham na niego ręką. Przynajmniej klientom Pelagii będzie groziła jedna katastrofa mniej.

– Proszę. – Kładę karty przed właścicielką.

Ta jednak ani myśli zaszczyścić mnie spojrzeniem.

– Otrzymałam wiadomość! – oświadcza dramatycznym szeptem.

– Jak to? – pytam ostrożnie.

Mam jakieś niedobre przeczucie.

Patrzy na mnie z nieukrywaną dumą, a potem kątem oka zerka na deser.

– Koleżanka po fachu wysłała mi namiary na siebie!

Fakt, że względu na liczbę szczegółów na pierwszy rzut oka ów obrazek rzeczywiście może sprawiać wrażenie, że stworzono go magicznie. I niestety wygląda na to, że i tak już nielicha samoocena Pelagii właśnie podskoczyła o dobre kilka punktów.

Przez chwilę zastanawiam się, czy wyprowadzić ją z błędu. Ale właściwie po co? Wygląda na taką szczęśliwą, że w końcu zyskała uznanie w magicznym świecie, skoro ktoś ją do siebie zaprosił (bo bez wątpienia tak tę „wiadomość” zinterpretowała). Niech sobie w to wierzy, skoro jej z tym dobrze. Przecież nikomu się przez to nie stanie krzywda.

– Zapakuj mi to na wynos, ale ostrożnie!

Zabieram talerz z deserem i na zapleczu delikatnie wkładam go do kwadratowego, tekturowego pudełka, uważając, by nie zniszczyć dzieła Karela. Gdy chwilę później stawiam je przed właścicielką, drzwi do pubu z impetem stają otworem, zupełnie jakby ktoś wymierzył im kopniaka. Jednak ten niespodziewany zastrzyk energii zawdzięczają nie tyle spotkaniu z czyjąś stopą, co raczej jakiemuś sprytnemu zakłęciu. Do środka wkraczają trzy ubrane na cebulkę wiedźmy. Pierwsza, ta na czele pochodu, jest wysoka, zasuszone i może się pochwalić imponująco długim nosem. Druga, o sympatycznym wyrazie twarzy, przypomina dobrze wyrosnięty pączek. Trzecia natomiast, średniego wzrostu i średniej tuszy, wydaje się jakaś wyblakła i bez wyrazu.

– Przez ciebie jak zwykle się spóźnimy! Ale nie, bo „jakkże to na sabat bez tapira!” – strofuje pączek zasuszone, a następnie, rozejrzawszy się po lokalu, kieruje się do stolika w rogu.

Reszta posłusznie drepcze za nią.

– Hej, dzierlatko! – Przywódczyni zniemacka przenosi uwagę na mnie. – Gdzie nasza herbata z rumem?! Wiadomość nie dotarła?

– Dotarła – zapewniam i na dowód unoszę świstek nad głową.

Dosłownie sekundę później czuję w palcach mrowienie, jakby lekko kopnął mnie prąd. Karteczka momentalnie zamienia się w popiół.

– Brunhildo, w twoim wieku to nie wypada!

Pączek sympatycznie chichocze, bynajmniej nie przejęty. Jest najmłodszy z całej trójki i widać najbardziej niefrasobliwy. Tapir, jak się zapewne domyśliliście, znajduje się właśnie na jego głowie.

Wytrzepuję z włosów pozostałości po liściku i idę po zastawę.

– Proszę – mówię chwilę później, stawiając na stole trzy filiżanki

i czajniczek, a pośrodku, niczym symboliczne słońce, butelkę rumu.

Herbata z rumem w wersji wiedźmiej, a już zwłaszcza przed sabatem, to taka, gdzie alkohol do napitku każdy nalewa sobie sam. I umiar nie jest w tym przypadku mile widziany.

Wysuszona unosi brwi, jakby zdziwiona i chyba zamierza coś powiedzieć, ale uprzedza ją Brunhilda.

– A ciasteczka imbirowe? – pyta z zapałem.

– Nie mamy ich w ofercie – wyjaśniam skruszonym tonem.

Widzicie, Joachim nie cierpi imbiru.

– Zamiast nich mogę zaproponować...

– Szkoda – przerywa mi zasuszona. – Na szczęście wzięliśmy swoje!

Sięga do woreczka przytroczonego do pasa, rozwiązuje go i kładzie na blacie. Na szmatce rzeczywiście leży góra przyrumienionych, apetycznie wyglądających wypieków. Teoretycznie spożywanie w Lunie własnego jedzenia jest zabronione, ale nie zamierzam być tą, która im to powie.

Tymczasem przywódczyni grupy definitywnie traci zainteresowanie moją osobą i ponownie poświęca je w całości młodzieckiej wiedźmie.

– I tyle razy ci powtarzałam! O miotłę trzeba dbać, nawet jeśli używa się jej tylko od święta. Gdybyś zamiast marnować czas na malowanie szponów na czerwono zajrzała do księgi...

– Koleżanki przelotem?

Zasuszona sztywnieje i powoli, jakby w zwolnionym tempie, obraca się w stronę szczerzącej się Pelagii, a gdy zauważa na jej stoliku karty, powoli rozciąga usta w uśmiechu. Tak mógłby uśmiechać się wilk na widok stadka owiec.

No dobra, może pośpieszyłam się z tym, że nikomu się nie stanie krzywda.

– W istocie, lecimy na sabat. Może ciasteczko?

Pelagia ochoczo dosiada się do nowych koleżanek, a ja zajmuję strategiczne miejsce za ladą. Nie mam wątpliwości, że szykuje się coś ciekawego.

– Na sabat? Przecież do pełni jeszcze daleko! – produkuje się tymczasem wróżbitka, bez skrępowania sięgając po filizankę wyblakłej, na której, o dziwo, nie robi to wrażenia.

– Taa... – przyznaje niechętnie zaszusona.

– Tak akurat wypadło – wyjaśnia niskim, miłym dla ucha głosem Brunhilda. – Wygodniej było nam spotkać się dzisiaj.

– Wygodniej – potwierdza bez przekonania wyblakła, nie patrząc na nikogo w szczególności.

– Bardzo słusznie – uznaje Pelagia. – Wiedziałam, że głędzenie o właściwościach pełni jest czczą paplaniną!

Zaszusona uśmiecha się jeszcze szerzej, aż przechodzą mnie ciarki.

– Rumu?

Pelagia skwapliwie kiwa głową.

Niestety w tym momencie do kontuaru podchodzi młody i jak na ichnie standardy chyba nawet przystojny goblin.

– Cioteczny kuzyn siostry przyrodniej mojego dziadka zostawił tu parasol! – oświadcza, poprawiając opadającą mu na czoło czapkę z kurzym piórem, z jego punktu widzenia zapewne szczyt elegancji. – Chcę go odzyskać! – dodaje, na wypadek, jakbym nie załapała.

– Niech pomyślę... – odpowiadam, mrużąc oczy.

Zdecydowanie coś tu nie gra. Nie chodzi nawet o to, że każdy przedmiot pozostawiony w Lunie bez nadzoru w tempie błyskawicznym zmieniłby właściciela i że stali bywalcy doskonale o tym wiedzą. Bardziej zastanawia mnie inny fakt: otóż gobliny nie używają parasoli. Trudno się przecież czymś takim przedziierać przez krzaki, tym bardziej, jeśli w drugiej ręce dzierży się kurę/kawałek złomu/donicę z pelargonią, na które przypadkiem się natknęło i którym spontanicznie postanowiło się zaopiekować. Na wszelki wypadek uważnie przyglądam się młodziakowi. To chyba naprawdę goblin, a w każdym razie jeśli jest pod wpływem uroku maskującego, musi być on najwyższej klasy, bo ja go nie wyczuwam.

– Jak wyglądał?

Mój rozmówca nerwowo porusza uszami.
– Żyłasty, z poszarpanymi małżowinami. Utykał na lewą nogę. Przewracam oczami.
– Miałam na myśli parasol.
– Parasol jak parasol – rzuca, jakby z urazą. – To jak, oddacie go po dobroci?
Wspominałam już kiedyś, że czego jak czego, ale manier gobliny nie wysysają z mlekiem matki?
– Oczywiście, z przyjemnością koleżankom powrózę! – woła radośnie Pelagia.
A niech to, nie mogę tego przegapić!
– Nie oddamy – mówię z roztargnieniem, kątem oka obserwując, jak wróżbitka z wprawą tasuje karty.
Goblin marszczy czoło, a jego długie spiczaste uszy robią się jakby oklapłe, tak że przez chwilę przypomina parodię jamnika.
– A za maść z pasikoników? Doskonale leczy czyraki!
Sięga do kieszeni i prezentuje mi fajansowy słoiczek.
– Co takiego? – Muszę przyznać, że udało mu się zbić mnie z tropu.
– Tajny przepis mojej prababci! – Kusi. – Ciotecznej... – dodaje niepewnie, widząc, że nie odpowiadam.
Pocieram skroń.
– Nie. Chodziło mi o to, że go nie mamy. Podać coś? – Zmieniam ton na bardziej rzeczowy, żeby podkreślić, że temat uważam za skończony.
– Niech pomyślę...
Dla ułatwienia (i żeby choć na chwilę się go pozbyć) wręczam mu menu, a on zabiera się za kontemplację obrazków dołączonych do nazw potraw.
– Blondyn wieczorową porą – oświadcza z powagą Pelagia i odkrywa kolejną kartę. – Widzę płomienny romans! Lecz ów ponętny dżentelmen będzie krył mroczną tajemnicę...
– Nie lubię blondynów. – Zasuszona krytycznie przygląda się rozłożonemu przed nią rządkowi kart. – Nie masz tam jakiegoś bruneta? Może być szpakowaty.

– Ja lubię! – wtrąca radośnie Brunhilda. – Możesz mi go odstąpić!
– To mój blondyn! – protestuje zasuszona z groźbą w oczach, nagle zmieniając front. – Załatw sobie swojego.

– To nie tak działa! – oburza się Pelagia. – Karty nie kłamią! I nie dają się przekupić! To nie to, co te wasze kuglarskie sztuczki!

Jej rozmówczynie zastygają i rzucają jej nieruchome, gadzie spojrzenia. Nawet wyblakła, do tej pory nie biorąca udziału w dyskusji, budzi się z transu i dołącza do koleżanek. Wstrzymuję oddech.

– Kuglarskie? – upewnia się zasuszona.

– Sztuczki? – uzupełnia Brunhilda, a na jej policzkach pojawia się zapowiedź ognistego rumieńca.

Choć może na pierwszy rzut oka nie wyglądają groźnie, gdyby tylko chciały, mogłyby jednym gestem cisnąć nieszczęsną Pelagię o ścianę.

– Nie, żebym się wywyższała. Każdy orze jak może. Jakby co, zawsze chętnie pomogę. – Nieświadoma niebezpieczeństwa, z dumą poklepuje pudełko z deserem.

Na szczęście wszystko wskazuje na to, że póki co więdźmy nie czują potrzeby, by ustawić ją do pionu. Brunhilda sprawnie, bez patrzenia, uzupełnia rumem ubytek herbaty, a zasuszona z zadumaną miną pociera brodę, a potem wyciąga szyję.

– To miło z twojej strony – oznajmia z udawaną powagą. – To co tam jeszcze szykuje dla mnie los?

Pelagia z namaszczeniem odkrywa kartę i cmoka, kręcąc głową.

– Kradzież samochodu! – tu urywa i posyła swojej klientce kontrolne spojrzenie. – Zaprzęgu konnego? – prostuje z wahaniem. – Ehem... Miotły?

– Też coś! – oburza się zniecierpliwiona Brunhilda. – Kupujemy je zawsze z pierwszej ręki i za uczciwą cenę!

Pelagia czerwienieje.

– Nie, nie! – protestuje, machając palcem wskazującym, na podobieństwo wycieraczki pracującej na pełnych obrotach. – To jej ją ukradną!

Zasuszona bawi się coraz lepiej.

– Chciałabym to zobaczyć...

Ja też. Zwłaszcza moment, gdy miotła goni niedoszęłego złodzieja, nie szcędząc mu razów w cztery litery, a taki bieg wydarzeń gwarantuje proste i powszechnie stosowane w takich przypadkach zakłęcie.

Niechętnie odrywam uwagę od czarownic i omiatam wzrokiem salę. Na szczęście jest spokojnie. Gnom zbiera się do wyjścia, mozolnie przeliczając drobniki z przytroczonej do pasa sakiewki, mały wilkołak drzemie z głową na stoliku, podczas gdy jego mama dopija zawartość filiżanki, a Cecylia przyjmuje zamówienie od obdarzonego imponującymi, krzaczastymi brwiami krasnoluda. Ten, w ramach gestykulacji, dziarsko wymachuje podręcznym toporkiem. Studentka początkowo cierpliwie to znosi, zręcznie się uchylając, gdy ponosi go adrenalina, jednak w pewnym momencie toporek zniemacka znosi w stronę blatu, zupełnie jakby coś go do niego przyssało. Krasnolud przez chwilę szarpie za trzonek, ale bezskutecznie.

– Szkoda zachodu. – Cecylia przypomina w tej chwili ucieleśnienie niewinności. – Mamy tu okresowe pole magnetyczne i jak się tu coś tak przyklei, to ani drgnie. Lepiej poczekać, aż samo puści.

Krasnolud wzdycha, próbuje jeszcze raz i w końcu daje sobie spokój, nie zauważając, że w źrenicach jego kelnerki pojawia się błysk triumfu.

– Kłótnia w rodzinie! – oświadcza gniewnie Pelagia.

Niefrasobliwość klientki widocznie ją frustruje. Uwielbia, jak ci, którym wróży, trzęsą się jak osiki, podczas gdy ona przepowiada im kolejne nieszczęścia.

– A to nic nowego, jak ma się tak wrednych krewnych! Czasem mnie kusi, co by im zafundować plagę czy dwie – stwierdza zasuszona, uśmiechając się od ucha do ucha.

No cóż. Jak już kiedyś wspomniałam, nawet Pelagia może się pomylić i trafić. Kręcę głową i podnoszę do ust szklankę z sokiem.

– Teraz ja! Teraz ja! – Podskakuje na krześle pączek.

– Mam lepszy pomysł.

Wszystkie trzy nadstawiamy uszu, wyblakłą natomiast na dobre pochłonęły jej własne myśli i nie śledzi już konwersacji na bieżąco, co poznają po nieobecnym wyrazie twarzy.

– Pojedźcie z nami na sabat!

Sok staje mi w gardle i omal nie upuszczam szklanki. Co one knują? Przecież z zasady obcy mają zakaz wstępu na ich comiesięczne zgromadzenia. Może potrzebują kogoś do testowania nowych zaklęć? Tudzież odtrutek?

Brunhilda wdzięcznie chichocze, tylko utwierdzając mnie w złych przecuciach.

– Właściwie... czemu nie. Akurat nie mam innych planów na wieczór. – Pelagia niespecjalnie przekonująco próbuje ukryć podekscytowanie.

Po jej wyniosłej minie poznaję, że ma na końcu języka kolejną nieprzemyslaną uwagę na temat kuglarskich sztuczek, na szczęście jednak zachowuje ją dla siebie. Wprawnym ruchem zbiera karty, po czym nagle zastyga w bezruchu.

– Dziwne. – Marszczy brwi. – Chyba jednej brakuje.

No, no. Wbrew sobie czuję podziw. Jak to możliwe, że to wyczuła?

– Ach tak... – Zaszuszone pstryka palcami i przeżuta przez wilkołacze dziecko karta materializuje się na blacie, tuż przed właścicielką.

Pelagia nieznacznie się wzdyga, ale błyskawicznie udaje jej się opanować i przybrać obojętną minę, zupełnie jakby takie rzeczy przydarzały się jej na co dzień. Bez mrugnięcia okiem dołącza zgrabie do reszty kart – nawiasem mówiąc rozpoznaję ją, to Rozstanie, które z jakiegoś powodu symbolizuje przystojny elf i ludzka dziewczyna w stylu emo. Pelagia z upodobaniem mi ją prezentuje, od kiedy zobaczyła mnie z Arturem – może teraz, gdy karta jest nadgryziona, w końcu przestanie.

– Koleżanka poleci ze mną – peroruje tymczasem zaszuszone.

– Miotła Brunhildy wymaga pilnego przeglądu, więc nie wypada proponować jej gościom.

Pączek spieka raka. Przywódczyni wiedźmiej grupki pstryka palcami, a potem wykonuje w powietrzu gest pisania. Odpowiadam jej skinieniem głowy, podliczam kwoty na obu rachunkach i ruszam w stronę stolika. Pech chce, że akurat wtedy krasnoludowi udaje się wyrwać toporek, który wyslizguje mu się z rąk i szybkuje prosto w stronę zajętych rozmową czarownic. Na szczęście refleks kelnerki mnie nie zawodzi i udaje mi się odbić bronią tacą, czemu towarzyszy zadziwiająco donośny brzdęk. Gwałtownie obudzony wilkołaczek podskakuje i wślizguje się pod stół. Zaszuszone w dowód uznania unosi jedną brew, a potem zerka na przyniesione przeze mnie świstki, rzuca na stół srebrną monetę, co w praktyce oznacza solidny napiwek i wyprowadza towarzyszeki na zewnątrz. Za nimi podąża wciąż jakby nieco zaspana sowa.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc i przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami przypatruję się opustoszałemu stolikowi. I nagle doznaję olśnienia. Nie chodziło im o żadną zemstę, one ją ze sobą zabrały dla rozrywki! Jako coś w rodzaju maskotki! Pewnie znudziły im się wzniosłe inwokacje i tańce przy ognisku – zamiast tego wolą trochę się pośmiać.

Wyobrażacie sobie? Ciemna noc, pogwizdujący gdzieś w chaszczach wiatr, trzaskający ogień i grupka przemarzniętych, znudzonych i przez to nieobliczalnych wiedźm. I pomyśleć, że nie zobaczą tego na własne oczy!

Odrobinę nadąsana ładuję naczynia, obracam się i wówczas z zaskoczenia omal nie upuszczam tacy, okazuje się bowiem, że wyblakła wróciła i przez ostatnie kilka sekund miałam ją za plecami. Zamierzam spytać, czy mogę jakoś jej pomóc, ale gdy nasze spojrzenia się krzyżują, odnoszę wrażenie, że nie patrzy na mnie, ale gdzieś poza mnie, jakby widziała coś, czego nie dane jest zobaczyć innym. A to, przyznając, zbija mnie z pantałyku. I wówczas, niespodziewanie, wiedźma ogniskuje wzrok w stu procentach na mojej osobie.

– Trzeba ją zniszczyć – mówi. – To może pomóc – dodaje i wkłada mi do kieszonki fartuszek wisiorek z czarnym kamieniem, a potem, nie czekając na moją reakcję, opuszcza Lunę

Oniemiała, odprowadzam ją wzrokiem. Ciekawe, o co mogło jej chodzić? Czyżby z kimś mnie pomyliła? Wcale bym się nie zdziwiła, wyglądała na rozkojarzoną. Może przedawkowała zaklęcia? Sięgam do kieszeni, ale wtedy moją uwagę odwraca zniecierpliwiony wampir, który domaga się czerniny.

Reszta wieczoru jest na tyle absorbująca, że gdy zakładam na noc kratę na drzwi, zbiera mi się na ziewanie. Niestety zasuszona miała rację: niebo rzeczywiście przesłoniły chmury i znów zbiera się na deszcz. Bezruch w powietrzu został zastąpiony przez lekki wiaterek, ale przynajmniej wciąż jest w miarę ciepło. Przeciągam się, nieśpiesznie wyciągam klucz z kłódki i obracam się na pięcie. I staję twarzą w twarz z ubranym na czarno mięśniakiem.

– Hrabina zaprasza na rozmowę – mówi ten, z niewróżącym nic dobrego uśmiechem i wręcza mi bilecik wizytowy, na którym kursywą wpisano adres, jutrzejszą datę i godzinę siedemnastą.